



BLUES O KRWI I TRAWIE

PAWEŁ CIEĆWIERZ

LITERATE

BLUES
O KRWI I TRAWIE
PAWEŁ CIEĆWIERZ

LITERATE

[Kup książkę](#)

Sandrze

PIERWSZA ZUROTKA

To nie miejsce dla niego.

Morgi pozbyły się śląskiego charakteru, przypominają bardziej przedmieścia Warszawy. Architekci i dizajnerzy prześcigają się tu w pomysłowości, nikt nie liczy kasy wydanej na metr kwadratowy. Morgi są dzielnicą ludzi z seriali – nawet tonąc w deszczu, sprawiają wrażenie lepszego miejsca. Mieszkańcy podzielają tę opinię, przyglądając się światu zza panoramicznych szyb. Ich czas to początek lat dziewięćdziesiątych, złoty okres dla cwaniaków ze znajomościami po obu stronach zdychającego systemu. Dziś dawni ubecy i cinkciarze wysyłają swoje dzieciaki do prywatnych szkół albo za granicę, gdzie starają się one nie mówić po polsku.

Ktoś taki jak Rysiek mógł się znaleźć w tym miejscu tylko w jednym celu. Teraz jest mocno rozczarowany. Przez godzinę tłukł się autobusem, bo miał nadzieję na więcej. Więcej życia w tych marmurowych wnętrzach. Wszyscy pozostali uczestnicy imprezy są o dwadzieścia lat młodszy od niego. Chodzą do tego samego liceum i tylko to ich łączy. Wymalowane dziewczyny wyglądają naprawdę dobrze, a chłopcy wyglądają jak dziewczyny. Ktoś robi zdjęcia na Insta i przez parę se-

kund wszyscy udają, że się dobrze bawią. Rysiek ma lekarstwo na takie dolegliwości. Jest, niejako z zawodu, naprawdę miłym gościem. Dostarczycielem dobrego nastroju. I ma dla wszystkich lekarstwo.

Diluje tylko zioło. Halucynogeny są nieopłacalne, amfetamina to same kłopoty. Handel ziołem jest właściwie pracą społeczną – nie ma innej branży w tym kraju, która od dwudziestu lat nie uległa inflacji. Jest i było trzy dychy za gram.

Dosiada się do stołu, zarośnięta twarz odbija się w ekranie plazmowego telewizora. Salon jest większy niż całe jego mieszkanie. Uśmiecha się do spiętych dzieciaków, jego uśmiech mówi, że nie ma się czego bać. Na wszelki wypadek, gdyby już coś o nim wcześniej słyszeli. Dziś jest dla nich Świętym Mikołajem, taką ma pracę. Bez słowa roluje blanta, stuka nim o szkło blatu, żeby ubić zmieszany z tytoniem towar. Bez pytania puszcza go w obieg i bierze się do następnego. Nawet niepalący krztuszą się dymem, żeby nie wyjść na frajerów przy reszcie. Nikt nie liczy wydanych pieniędzy rodziców. Rysiek częstuje na kredyt. Rozliczą się przy wyjściu, tego akurat jest pewien.

Diler wyższej klasy prócz zioła zapewnia też rozrywkę. Każe wyłączyć dyskotekowe gówno i podaje dzieciakom płytę Tricky'ego. Kiedy alkaloidy THC przedostają się do krwioobiegu, opowiada parę bytomskich motywów. Wszyscy śmieją się z jego ulicznych historii, chociaż, Rysiek wie o tym dobrze, sami posraliby się ze strachu w mieście po zmroku. „*I don't feel really real*”, szepcze z głośników Tricky. Rysiek to rozumie. Powietrze robi się ciężkie od

dymu, dziewczyny ruszają biodrami w ospałym rytmie, makijaż rozmazuje się pod wpływem potu. Indyjski rum przelewa się ze szklanek na puchaty dywan. Teraz jest dobrze.

– Podobno kiedyś byłeś bokserem? – pyta chłopiec z grzywką na oczach. – Znam się trochę na sporcie, gram w golfa.

– Pasjonujące – odpowiada diler.

– Nie wiedziałem, że Mała zna takich ludzi jak ty – przyznaje niechętnie młody. W normalnych okolicznościach, gdyby nie było z nimi obcego, pełniłby pewnie rolę samca alfa.

– Ona też długo nie zdawała sobie z tego sprawy.

Rysiek nie pamięta okoliczności, w których poznał organizatorkę imprezy. Mała to chyba ta czarna, która wygląda na młodszą od reszty i rzadko się odzywa. Kiedyś wyrośnie z niej piękna kobieta. Na razie przygląda się światu wielkimi orzechowymi oczyma osadzonymi jakby na wyrost w bladej buzi dziecka.

– Kto by pomyślał – mówi dalej młody z grzywką. Chyba założył, że to może być początek pięknej przyjaźni, albo chce mieć w znajomych bytomskiego handlarza narkotyków. – W szkole to jeszcze jedna mysz, jeśli wiesz, o czym mówię. Nigdy wcześniej nie zapraszała do siebie megaspoko ludzi. My też do niej nie przychodziliśmy. Fajnie, że mogliśmy się dzięki niej tu poznać.

– Znaczący, my? – pyta zdziwiony Rysiek. – Ano tak, rzeczywiście.

Potem tłumaczy, że nie pamięta swojego numeru telefonu i nie ma e-maila, ale z pewnością się jakoś do

niego odezwie. Odbiera wizytówkę. Kiedyś coś razem zapalą i pójdą grać w golf. Już nie może się tego doczekać. Kończąc rozmowę, przygląda się nastoletnim japiszonkom, bo po to tu przyjechał. Żadna ze skazanych na życiowy sukces dziewczynek nie chciałaby mieć z nim na co dzień nic wspólnego. Dziś jednak spotykają się na imprezie. Rzeczywistość na jedną noc zakłada rogatą maskę. Ryś roluje kolejnego blanta i uśmiecha się do wszystkich.

– Starzy się nie wkurwią? – pyta Małą. – Ktoś już obrzygał kibel na piętrze, a gość w kuchni przybija widelcem kanapki do ściany.

– Może nie powinienes im dawać zioła?

– Racja. Niektórzy są za głupi na narkotyki. Jeśli chcesz, to ja tego w kuchni...

– Nie trzeba. – Dziewczynka kręci głową. – Tak naprawdę to rodzice namówili mnie, żebym tu wszystkich zaprosiła. Specjalnie wyjechali na weekend, nawet zobowiązali się potem wszystko posprzątać.

– Bezstresowe wychowanie i w ogóle? – dziwi się Rysiek. Ekshipsisów zwykle nie stać na takie rezydencje.

– Nie, ale się o mnie martwią. Pani psycholog powiedziała, że mam niezdolność nawiązywania relacji społecznych i nie potrafię się skupić na rzeczach, które mnie nie interesują.

– O kurwa. – Ryś kręci głową. – Mam tak chyba od urodzenia.

– Ale twoi starzy nie mieli korporacyjnego poczucia winy.

– Mojemu staremu przydałoby się trochę jakiegokolwiek poczucia winy. Co masz na myśli?

– Byli bardzo zajęci w pracy. Dopiero po szesnastu latach zarejestrowali, że mają dziecko.

Rysiek wspomina przez chwilę własnych rodziców i dom, w którego okolicach się wychował. Dopija rum, powstrzymuje się od komentarza.

– Na pierwszy rzut oka wydajesz się całkiem w porządku – mówi. – Inteligentna i w ogóle. Rozmawiamy już chwilę, jest między nami dwadzieścia lat różnicy i wcale tego nie odczuwam.

Dziewczynka patrzy na niego krytycznie.

– To nie kwestia dojrzałości. I działa w dwie strony. Śmieję się. Diler lubi złośliwe dziewczyny.

– Od dawna zajmujesz się sprzedażą narkotyków? – pyta Mała poważnym tonem.

– Nigdy w ten sposób o to nie pytaj. Powinnaś powiedzieć: „Dawno już dilujesz?”. To są właściwe słowa, ale ich też lepiej nie używać. Większość kolegów z branży nie lubi opowiadać o sobie. Każdy dwunastolatek z centrum Bytomia to rozumie. Tu, na strzeżonych osiedlach, brakuje wam obycia.

– Powiedział czterdziestoletni przestępca spędzający sobotni wieczór na imprezie z nastolatkami.

– Trzydziestodzieciolatek. Bywanie na imprezach to mój zawód. Mogło być gorzej. Trudno dziś utrzymać się tylko z godzin trenerskich. Kiedyś to zrozumiesz...

– Nigdy cię nie złapali? – pyta Mała tonem postaci z serialu *Breaking Bad*.

– Kto miałby na mnie donieść? Przecież miły ze mnie koleś. I przydatny. Jak pani w nocnym. Jej nikt sądził nie będzie.

– Tak sobie racjonalizujesz?

Rysiek czuje, że bawi go ta rozmowa. Mała pasuje do tego środowiska jeszcze mniej niż on. Tymczasem impreza wokół się rozkręca, potrwa pewnie jeszcze ze dwie godziny, zanim chłopcy w obcisłych spodniach się porzygają, a dziewczynki zaczną robić rzeczy, których potem nie będą pamiętać. Ma jeszcze trochę czasu.

– I co z tymi twoimi rodzicami? Zaprowadzili cię do psychologa, bo nie pasujesz do wystroju wnętrza?

Mała kiwa głową.

– Zobacz, jesteś od wszystkich o dwadzieścia lat starszy, a i tak rozmawiali więcej z tobą niż ze mną. Dzieci lekarzy, które będą lekarzami. Życie zaplanowane aż do emerytury w domu rodziców. Nie wydaje ci się to przerażające?

– Widywałem zdecydowanie bardziej przerażające rzeczy, ale brzmi cholernie nudno. Jeden z nich nawet gra w golf, wiesz? A ty próbujesz być sprytniejsza i szukasz w życiu planu B?

– Właśnie.

– Za parę lat się zakochasz i dojdiesz do wniosku, że droga, którą wytyczyli ci rodzice, nie jest wcale taka zła. Że można jej przez chwilę spróbować. Zanim się obejrzyysz, będziesz miała własne biuro projektowe i dwójkę dzieci. Dla nich też sama zdefiniujesz szczęście. I będziesz się śmiać z tego, co teraz gadasz.

– Może i tak. A może nie. Prawdziwy z ciebie myśliciel. Encefalopatia boksterska?

Na podłodze w kuchni rozwała się coś szklanego, jeden z chłopaczków śmieje się opętańczo, któraś z dziewczyn krzyczy. Rysiek wzdycha ciężko.

– Załatwię to. Ciebie i tak nie posłuchają.

To był ten od golfa. Teraz bez mrugnięcia okiem zbiera rozbitą zastawę. Kiedy to robi, Rysiek przygląda się jego koleżance albo dziewczynie. Wydaje się starsza od Małej, na oko osiemnastoletnia, z rudymi włosami i zielonymi szklami kontaktowymi. Dzięki Bogu za zumbę i dancehall, jej ciało wygląda świetnie. Ma duże piersi, które tylko u nastolatków są jeszcze takie jędrne. Diler patrzy jej w oczy ponad plecami schylonego golfisty i natychmiast zapomina o rozmowie z Małą.

Pyta o imię, zawód rodziców, żartuje na temat znanego piosenkarza. Czubkami palców muska jej rękę, nalewając wódkę z sokiem. Dziewczyna się nie cofa. Przed chwilą się przedstawiła, ale muzyka była zbyt głośna i teraz Rysiek musi się do niej zwracać bezosobowo.

– Mam trochę marokańskiego haszu na specjalne okazje – mówi z uśmiechem. – Poszukamy sobie jakiegoś pokoju na piętrze?

Udaje, że się zastanawia. Czuje jej zapach, kiedy znikają dyskretnie w korytarzu. Ruszają się powoli, odurzeni ziołem, nerwy wyczulone na zmysłowe bodźce jak seksualne sejsmografy. W tym stanie trafiają do pokoju rodziców. Bez słowa lądują na sztruksowej narzucie. Ze

zdjąć patrzy na nich z białym uśmiechem szczęśliwa rodzina Małej.

Całują się, aż nie zaschnie im w ustach. Potem dziewczyna odwraca się plecami, rude włosy opadają na buzię, zaciska palce na ramie łóżka. Jak na licealistkę, zna się na rzeczy. Błyskawicznie zrzucają ubrania. Pozostaje chwilę z ustami przy jej piersiach. Oddychają szybko. Makijaż rozmazał się trochę, orientalne rysy wydają mu się przez to jeszcze bardziej podniecające. Dziewczyna gryzie go w ramię, kiedy jej dotyka. Potem siada mu na twarzy. Rysiek ma teraz lechtaczkę przy swoich wargach, palce zatapia głęboko. Robi się wilgotna. Zapach haszyszmu miesza się z zapachem perfum. Pierdola się od tyłu, ignorując skrzypienia łóżka i znaczące chichoty z dołu. Jej ręce wędrują z własnych piersi na biodra mężczyzny, narzucając tempo.

– Mocniej.

Ziło dobrze wpływa na seksualną wydajność, Kochają się prawie godzinę. Kończy na jej piersiach i twarzy, dziewczyna śmieje się, pot i sperma spływają wraz z resztkami makijażu. Potem długo leżą razem, pogrążając się w niebycie, smakując ostatnie chwile tego przypadkowego spotkania, które, co do tego oboje nie mają wątpliwości, musi się wkrótce skończyć. I nigdy się nie powtórzy.

Nadia Wid czeka na Małą. Właściwie aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest w stanie czekać na kogokolwiek. Do tej pory Mała pojawiała się sama, czy trzeba, czy nie trzeba, absorbując uwagę i zajmując miejsce, ale od tygodnia jej nie było, a telefon przestał odpowiadać. Ostatnie tłuste lata sprawiły, że Nadia Wid wysoko sobie ceni swój czas, dlatego jest na smarkulę wściekła. Powie jej i jej starym, co myśli o takim wychowaniu. Dlatego czeka, ale nie ma zamiaru robić tego beczynnie.

Przez parę kolejnych dni Ryszard Zwierz jest zbyt zajęty, żeby wracać myślami do imprezy. Zapomina imiona, ma w tym sporą wprawę. Jest miłym gościem, ale nie przywiązuje się do myśli, twarzy i miejsc. Oduczył się tego.

Z brezentowej torby wyciąga rękawice, owijki, strój i ochraniacz na szczękę. Rytualizuje drobne gesty w szatni, czerpie z nich przyjemność. W jego życiu rozmieszczenie przyrządów w torbie i godzina osiemnasta piętnaście w sali na placu Sikorskiego to jedyne powtarzalne elementy. Intymna resztką porządku w świecie kierowanym zasadą entropii. Bez niej byłby tylko jeszcze jednym dilerem w mieście kurew i bandytów.

Na sali widzi kilka nowych twarzy. To dobrze. Siłownie w centrach handlowych stopniowo odbierają mu klientów. Ludzie dzisiaj mają słabość do chromowanych

dodatków i panoramicznych szyb. Lubią dobrze wyglądać, ćwicząc, a to akurat z jego sportem ma naprawdę niewiele wspólnego. Jego sport od zawsze śmierdzał przeпоconymi rękawicami, krwią i śliną. Ludzie mogą grać w golfa albo w tenisa, ale nikt nie gra w boks, prawda?

– Kim jest ten duży? – pyta Cygana, z którym w swoim czasie i na lewo zarobił, a potem przejechał więcej kasy, niż jest dziś warta cała ich firma.

Cygan wzrusza ramionami.

– Duży, bardzo silny, mało skoordynowany, coś tam kiedyś ćwiczył – streszcza.

– Pytałem raczej o imię – krzywi się Rysiek.

Właśnie przez takie instrumentalne podejście ubywa im klientów. Cygan na wieść o tym, że ktoś na sali złamał nos, zwykł mawiać, że to dobrze, bo za drugim razem mniej boli.

– Nie znam jego imienia. Dobry jest. Może zagrzeje tu sobie miejsce.

– Nie sądzę.

Po zakurzonych szybach ścieka wiosenny deszcz. Spocone ciała to nikną, to wychodzą z cienia. Słysząc ciężki oddech, uderzenia i zgrzyt łańcuchów, na których podwieszono worki. Nowy próbuje za wszelką cenę się pokazać. Ewidentnie ma doświadczenie w biciu ludzi, co jednak nie musi łączyć się z boksem.

– Zmiana w parach – zarządza Cygan.

Sparring ma być na trzydzieści procent. Nowy uderza z całej siły cepami, rozbijając gardę. Brutalność

skutecznie zastępuje technikę. Krew z rozbitych ust partnera drobnymi kroplami pstrzy mu koszulkę. Ryś z uwagą przygląda się twarzy zwycięzcy. Spływającej potem, nalanej, zadowolonej z siebie. Nowy rechocze i bez słowa odwraca się do kolejnego przeciwnika. Rysiek zna takich ludzi. Znał ich przez całe swoje życie.

„Morda, szmato. Tylko na siebie popatrz. Nie pierdol, że boli. Bądź ciszej, bo dzieciak usłyszy”.

Ryszard Zwierz dawno już nie wspomina takich rzeczy. Nie jest zbyt rodzinnym człowiekiem. Nowy nie traktuje go jak trenera, w jego mniemaniu pod względem umiejętności są sobie równi. Dycha za każdego takiego frajera i Rysiek przestanie sprzedawać narkotyki.

– Poruszamy się? – pyta grzecznie.

Nowy nie traci czasu na wyczuwanie dystansu. Wchodzi w niego na choma dwoma sierpami, które mają za zadanie raczej przebić obronę, niż ją ominąć. Nie jest bokserem, ale napierdalacz z niego niezły. Zwierz widzi pracę szczęk, grube żyły pulsują na skroniach jak robaki. Schodzi głową w lewo skos przed prostym. Rękawice opiera o czoło, bo przy tej różnicy masy tylko tak utrzyma gardę. Zbija łokciem drugi strzał. Potem unika rotacyjnie, żeby przerwać bitą na ślepo serię przeciwnika. Odskakuje, wychodzi z dystansu. Do tej pory nie zadał jeszcze żadnego ciosu.

Łatwo można przeszarżować w walce z mańkutem – nowy nadziewa się na kontrę. Stopuje go proste uderzenie z prawej. Bokser rusza się bez przerwy, pilnuje wykroczonej nogi na zewnątrz. Pozornie bez wysiłku,

balansem ciała unika serii trzech cepów. Markowanym prostym ustawia przeciwnika i wkręca zdradzieckiego haka w wątrobę, narusza go podbródkowym, unika klinczu i sierpem kończy swoją kombinację.

Ma go. Pojedynek zawodowca z amatorem potrwał jakieś sześćdziesiąt sekund i Rysiek jest rozczarowany. Skoro już wypuścił bestię, należy jej się dłuższy spacer. Dobija kombinacją prostych i sierpów. Popisuje się, kończąc walkę bez gardy. Nowy zostaje na kolanach z ustami czerwonymi jak dojrzałe wiśnie. Zasłużył sobie. Sam się o to prosił, prawda? Cygan kręci sceptycznie głową na widok krwi, Ryś wzrusza ramionami.

Kiedy wraca do szatni po długim i ciepłym prysznicu, nie ma tam już nikogo. Nowy zwinął się najwcześniej z twarzą obłożoną lodem jak ryba w supermarkecie.

– Ze wszystkich twoich głupich pomysłów w ostatnim czasie... – zaczyna Cygan przy wyjściu z klubu.

– Daj spokój. – Rysiek uśmiecha się niewinnie. Bestia śpi głębokim snem. – Facet rozrabiał, popisывał się, robił krzywdę początkującym. Nie potrzebujemy tu takiego elementu, prawda? To był dobry uczynek. Przynajmniej nie zażądał zwrotu składki.

– Myślisz, że mówisz mi coś, o czym nie wiem? Powinienem do was podejść, zanim zrobiłeś mu z ryja mielone.

– Podać kaski?

– Kurwa mać, stary, przecież to był gliniarz. Chłopcy go rozpoznali. Nie mam pojęcia, czy przyszedł tu się czegoś o tobie dowiedzieć, czy tylko poboksować, ale gwarantuję, że po dzisiejszym treningu dobrze cię zapamięta.

Nadia Wid po raz pierwszy od bardzo długiego czasu martwi się o kogoś, chociaż nie powinna. Mała była dla niej tylko utrapieniem. Ceną, którą płaci się za sławę, jeśli nie chce się zostać kompletnym warszawskim dupkiem. Prawie codzienne wizyty stanowiły haczyk spłacany sumieniu. Tak, mam sporo forsy, jestem popularna, dawno już zapomniałam o rzetelnym dziennikarstwie, ale pomagam małym dziewczynkom pisać eseje i w ogóle. Ostatnio trochę brakowało im rozmów, Mała stopniowo zamykała się w sobie, ale to się przecież zdarza nastolatkom. Większość opornie godzi się ze świadomością, że ludzie jako gatunek mają więcej powodów do wstydu niż do dumy, a złe rzeczy w życiu wydarzają się nieuchronnie, podczas kiedy dobre tylko przypadkiem. Nadia myśli o tym wszystkim i trochę się martwi, chociaż nie powinna.

Rodzice Małej poszli na policję dopiero po paru dniach. Młode i ładne dziewczyny ginęły na Śląsku nader często. Znajdowały się potem na wysypiskach śmieci albo w niemieckich burdelach. Nadia pisała o tym, kiedy jeszcze była prawdziwą dziennikarką.

Przez parę tygodni bezskutecznie próbuje zapomnieć się w pracy. Zdążyła zauważyć, że im wyżej się wspina, tym mniej jest do roboty. Poznała już paru ludzi z samego szczytu. Tam wystarczy po prostu być, fotografując się na ściankach, jedząc darmowe kolacje w restauracji

Magdy Gessler, chwając się znajomościami w Sejmie i stosując się do jeszcze paru innych zasad gadziego ekosystemu. Teraz jedzenie staje w gardle, napięcie rośnie, adrenalina robi swoje. Trudno stłumić atawistyczny odruch uruchomiony zaginięciem Małej. Nadia nie jest pewna, czy rzeczywiście chodzi jej o dziewczynkę.

Dlatego teraz ogląda Morgi zza zalanej deszczem szyby samochodu. Lato tego roku było chłodne, przyniosło za sobą komary, reumatyzm i powodzie. Wycieraczki ślizgają się po szkle, willa rozpływa się w mroku, na podjeździe marznie długowłosa chłopak. Nadia przybyła tu właśnie do niego, ale instynkt każe jej pozostać w samochodzie i obserwować rozwój wydarzeń.

Nie było go na imprezie. Wtedy jeszcze siedział w Paryżu na jakieś zagranicznej wymianie organizowanej przez szkołę. Nie wrócił na wieść o nieszczęściu. Dopiero kiedy czas wyjazdu minął, poznał szczegóły dotyczące zaginięcia swojej dziewczyny. I razem z jej rodzicami „pogrążył się w żałobie”. Nadia nie wie właściwie, co spodziewa się od niego usłyszeć. Nie było go tu przecież. Rozpoczyna swoje prywatne śledztwo tak jak kiedyś, na czuja, bo układanka nie pasuje do obrazka. Osiemnastoletni Adam nie wygląda na zrozpaczonego. Żałoba to ciężka praca wykonywana w samotności. Chłopak zdecydował się jednak podzielić się z kimś swoim cierpieniem. Na podjeździe towarzyszy mu dziewczyna, razem wchodzi do samochodu. Jeśli dobrze pamięta ich rozmowy i szkolne zdjęcia Małej, ruda jest jakąś jej przyjaciółką. Żałoba musi rze-

czywiście zbliżać do siebie ludzi, bo dzieciaki w aucie nie mogą się od siebie odkleić. Ich przednia szyba też spływa deszczem, mieszając czern i czerwień we wnętrzu wozu.

Nadia wycofuje się. Włącza światła, dopiero kiedy dom znika za drzewami. Czuje się jak podglądaczka. Tyle już czasu minęło, odkąd wypadła z zawodu. Brakowało jej tego uczucia.

Spokojny oddech, regularny rytm kroków, w słuchawkach Pearl Jam. Kiedy akurat nie ćpa albo nie pije, lubi sobie pobiegać. Są jeszcze na świecie ludzie, którzy nazywają go trenerem – czuje się zobowiązany. Może tylko to różni go od starego, beznadziejnego alkoholika odkręcającego gaz nie zawsze po to, żeby zagotować wodę na kawę. Szósta rano – nastoletnie prostytutki z rozmazanym makijażem wracają o tej porze do domu, pijacy wyją żałośnie, budząc się rano w parkach, bo od ziemi ciągnie zimno jak cholera. Miasto leczy kaca. Mimo to drzewa wyglądają świeżo, powietrze jest rześkie, czasem nawet mija ludzi spacerujących tu z psami. Pod warunkiem, że są duże i groźne. Krok za krokiem, ręce nawykowo dopasowują się do rytmu, markując bloki i uderzenia. Krok za krokiem, Zwierz uświadamia sobie, że pod stopami ma cienką warstwę ziemi ponad opustoszałymi pokładami kopalni. Szkody górnicze. Cały Bytom stanowi zastygłą skorupę po-

nad kilometrami pustych korytarzy, które zapadają się czasem, przypominając o sobie głuchymi wstrząsami w środku nocy.

Trzy kilometry i trzy utwory dalej, gdzieś między *Daughter* a *Rats*, ściera z czoła pierwsze krople potu, po prawej stronie mija wysoki płot strzeżonego osiedla. Widoczny ponad równo przyciętym żywopłotem biały marmurowy dworek należy do byłego prezydenta miasta. Zwierz widział człowieka raz w życiu, na otwarciu hali sportowej na Szombierkach. Jedenasta rano, a gościa trzeba było podpierać z dwóch stron przy przecinaniu wstęgi. Teraz mieszka sobie tutaj ze swiatą i z rodziną, bardzo dbając o to, żeby żaden wyborca nie zawieruszył się przypadkiem po drugiej stronie płotu.

Pomiędzy tym wszystkim ci, którzy próbują żyć, jakby świat był w porządku. Piekarze, sprzedawczynie, pielęgniarki, nauczyciele. Coraz ich mniej w ostatnich czasach. W oczach Zwierza wszyscy są lokajami polewającymi srebro na Titanicu. Nawet w Al-Jazeerze mówi, że Bytom to patologia. Dla spokoju sumienia stara się nie zastanawiać zbyt długo nad własną rolą w tym cyrku. Bicie ludzi i narkotyki. Jego pozytywny wkład w życie społeczne ogranicza się do niechętnego płacenia podatków za działalność klubu.

Krok za krokiem, zimna kropla potu spływa między łopatkami, koszulka lepi się do ciała. „*How much difference does it make?*”, śpiewa Eddie Vedder. Za parę godzin na placu zabaw pojawią się dzieciaki. Wieczorem park będzie należał już do jego klientów. Jutro rano

znów przyjdzie tutaj pobiegać. Bytom to dziwne miasto. Kiedyś pęknie i zapadnie się jak kra wiosną na powierzchni stawu. Były bokser wyobraża sobie to przez chwilę. Od razu lżej mu się biegnie.

Kolejny logiczny krok to rozmowa z rodzicami. Zaginięcie jest pod pewnymi względami gorsze niż śmierć. Rodzice Małej pewnie wyobrażają ją sobie teraz we wszystkich burdelach świata, krzywdzoną w taki sposób, że śmierć może wydawać się wyzwoleniem. Nadia nie ma dziś na to czasu.

Hotel Monopol w Katowicach zrobił, co mógł, by stanąć na wysokości zadania. Premiera filmu zasłużonego reżysera połączona z akcją dobroczynną na rzecz zmarłego w wypadku dziennikarza (Krzyż Zasługi, kondolencje prezydenta). Grunt to odejść z hukiem. Pojechała. Nie było innego wyjścia.

Przekąski (oczywiście Magda Gessler), tłum dziennikarzy, drogie suknie i buty (Louboutin albo podróby) oraz oblepiona celebrytami ścianka. Fragment rzeczywistości jakby żywcem wyrwany z LA. Robi wrażenie, jeśli się go odpowiednio wykadruje. W głównej sali znany piłkarz opowiada jej o problemach ze sponsorami. Wspomina, że na Śląsku jest po raz pierwszy, sam. Nie wie, gdzie się obrócić, co można tu zobaczyć oprócz kopalni. I jest sam. Bez żony. Nadia przy pierwszej okazji pozwala się ponieść fali gości. W tym tkwi

tajemnica bywania na takich imprezach. Dobrze wy-
czuć wewnętrzne napięcie tłumu. Dryfować.

Wygląda świetnie w czarnej koktajlowej sukni i szpil-
kach z paskami na kostce. Na tle pozostałych – całkiem
skromnie. W telewizji uczyniła z tego swój atut. Wszy-
scy czekają w napięciu, aż wreszcie się skurwi. Pan Re-
żyser zgadza się udzielić wywiadu, co samo w sobie jest
towarzyską nobilitacją. Dyskretnym sygnałem uznania
dla jej zawodowych wyborów. Mniej depresyjnych re-
portaży, więcej optymizmu.

– Celem tego filmu jest nawiązanie kontaktu z mło-
dym pokoleniem. My, doświadczeni w socjalizmie, uro-
dzeni w latach czterdziestych... – „Zaraz będzie Solidar-
ność”, myśli sobie Nadia. – My, pokolenie Solidarności,
mamy swego rodzaju moralny obowiązek przekazać im
wypracowany w trudnych czasach system wartości. Może
jesteśmy ostatnią generacją, która jest to w stanie zrobić.

Lubi słuchać własnego głosu. Wywiady z nim to
robota głupiego. I tak mówi to, na co ma ochotę.

– Zadanie nie jest łatwe. Młodzi dzisiaj mają inne za-
jęcia. Internet, pornografia, narkotyki... Mam nadzieję,
że mój film do nich dotrze. To posłannictwo, które...

Wymyka się, zanim piłkarz zrobi się nachalny,
a najebany Pan Reżyser zaśnie na stole. Wychodząc,
mija pomieszczenia telekonferencyjne. Studenci dzien-
nikarstwa oglądają przebieg fety na dużych ekranach
i piszą na zaliczenie sprawozdania do uczelnianej gazety.
Na salę nie wejdą, bo drzwi są zamknięte. W środku
mają herbatę w plastikowych kubkach i ciasteczka.

Następnego dnia znowu jedzie na Morgi. Dom rodziców jest pusty, straszy pozamykanymi oknami, we framudze pulsuje czerwone światło alarmu antywłamaniowego. Sąsiadka, jedna z tych, które zza zasłon widzą wszystko i o wszystkim wiedzą, czeka na nią przy samochodzie. Gdyby Nadia nie była panią z telewizji, kobieta pewnie nigdy nie odważyłaby się do niej podejść. Na strzeżonych osiedlach zwykle nie gada się z nieznajomymi. Ciekawość okazuje się jednak silniejsza od strachu.

– Państwo Dunikowscy wyjechali – stwierdza.

Nadia zastanawia się, czy kobieta cały dzień siedzi w domu w makijażu, czy może zdążyła się teraz błyskawicznie pomalować, na wypadek gdyby dziennikarka pojawiła się tu z kamerą.

– No, najwyraźniej – odpowiada, zapalając papierosa. Częstośuje, ale sąsiadka odmawia. – Chciałam z nimi porozmawiać o zaginięciu ich córki. To w sumie sprawa prywatna. Trochę się z Małą znałyśmy.

– Bardzo miła dziewczyna – podpowiada usłużnie rozmówczyni. – Nigdy nie było tu z nią żadnych problemów.

W lepszych dzielnicach słowo „miły” jest synonimem słowa „niewidzialny”.

– Zaginięcie dziecka musiało być dla państwa Dunikowskich wielkim szokiem – stwierdza odkrywczo Nadia. Chyba wyszła z wprawy, jeśli chodzi o przeprowadzanie wywiadów.

– To prawdziwy dramat. Nigdy dotąd nikomu z moich znajomych nie przytrafiło się nic podobnego – mówi kobieta z ledwie skrywaną satysfakcją w głosie. – Przez

pierwszy tydzień z panią Dunikowską było naprawdę ciężko. A ten Dunikowski to chodził błady jak upiór i do nikogo się nie odzywał. No, niech pani sobie wyobrazi, co się teraz może dziać z tą dziewczyną. Wyrzucali sobie przy świadkach, że wtedy wyjechali na weekend. Że pozwolili małej zrobić tę prywatkę. Ale kto to mógł wiedzieć, droga pani, kto to mógł wiedzieć?

– Zniknęła zaraz po... prywatce? – pyta dziennikarka, testując słowo z kategorii wymarłych. – Dunikowscy wyjechali dawno temu?

– Miesiąc po zaginięciu córki, to będzie ze dwa tygodnie temu. Prosim, żebym zwróciła uwagę na dom. Ale wtedy już wcale tak źle nie wyglądali. Trochę im przeszło.

– Przeszło? Coś takiego może w ogóle kiedyś przejść?

– Wie pani, w małżeństwie układało się tak sobie już od dłuższego czasu. Oboje dużo pracowali. Często widywałam, jak Dunikowski wraca do domu o północy i rano znowu do firmy. Takie teraz czasy... A nieszczerśćcia zbliżają ludzi do siebie.

– Co pani powie. – Nadia przeciąga rozmowę. Sąsiadka nie zdążyła jej się nawet przedstawić, ale w pracy nauczyła się doceniać ludzi jej pokroju. Takich, którzy z braku własnego życia noszą w głowach klasery cudzych wspomnień.

– Wyjechali na długo, bo wiadomo, nigdy nie brakowało im pieniędzy. Ta sprawa z córką. Wydawało się, że przeszli przez to razem, że znowu zaczęli się dogadywać.

Nawykowo prosi o numer telefonu, a potem jak najszybciej się żegna i wraca do śródmieścia tą samą co wczoraj drogą. Tym razem ulice są suche, ale sine

chmury nad miastem nabrzmiewają wilgocią, jakby lato w tym roku zostało odwołane. Państwo Dunikowscy podobno wyjechali do ciepłych krajów. Może postanowili cierpieć w hamakach nad brzegiem morza? Można i tak. Nadia ma sposoby, żeby to sprawdzić.

Telefon oddzwania przy czwartym drinku. Plazmowy telewizor z wyłączonym dźwiękiem oświetla jej bladą twarz. Dzięki Bogu za komórki, nie ma teraz nawet siły ruszyć się z fotela.

– Siema, skarbie. – Głos w słuchawce zaczyna tak, jak informatycy wyobrażają sobie, że należy zaczynać rozmowę z dziewczynami. – Co u ciebie słychać? Może zamiast pić w samotności, wpadniesz czasem do nas do stolicy na drinka?

– Koniecznie – obiecuje Nadia. W zamian dostaje informacje, na których jej zależało.

Ślad wydanych pieniędzy ciągnie się za Dunikowskimi jak śluz za ślimakiem. Tak to już dzisiaj wygląda. Im więcej masz, tym trudniej ci zniknąć.

– Karty kredytowej używano wielokrotnie w Paryżu i Londynie. Zapłacono z niej też za podróż z Heathrow do Palermo. Jutrzejszym lotem. Wybierasz się może do ciepłych krajów, piękna?

– Nie sądzę – odpowiada Nadia – ale dzięki ci bardzo, kochanie. Jak zawsze robisz za mojego anioła stróża w nieprzyjaznej otchłani internetu.

– Szkoda, że cię teraz nie widzę. – Głos w słuchawce się śmieje. – Jesteś piękna, kiedy kłamiesz.

– Skąd wiesz?

– Widziałem w telewizji.

Dziennikarka robi sobie piątego drinka, zalewając wódkę wyciskanim soki z pomarańczy. Teraz proporcje wynoszą już pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Na ciepłokrystalicznym ekranie hiperrealne twarze bohaterów telenoweli prowadzą w pełnym zbliżeniu jakąś dramatyczną rozmowę.

– Wy-pier-da-lać – sylabizuje głośno.

Nawet nie chciała tej cholernej plazmy. Maciek zostawił, kiedy się wyprowadzał.

– Łaskawca pierdolony – mruczy do siebie Nadia i robi jej się od tego lepiej.

Przez chwilę rozważa możliwość, że Dunikowscy zwyczajnie sprzedali swoją córkę i dlatego teraz tak szastają forszą. Nierozeczny pomysł. Nie licząc zwykłych problemów okresu dojrzewania, relacje Małej ze starymi układały się dobrze. Kochali ją całą resztą sił, które pozostawały im po powrocie z pracy. Była dla nich ważna. Dobrze się uczyła, nie popadła w narkotyki, wciąż była dziewicą, w dodatku znalazła sobie uczciwego chłopaka w swoim wieku. No i proszę. Nawet dwa miesiące nie minęły i okazuje się, że świat równie sprawnie kręci się bez niej. Że porządną, dobrze wychowaną dziewczynkę zawsze da się zastąpić inną dobrze wychowaną dziewczynką, ziemia jest lżejsza o jedno istnienie, Caritas wzbogaci się o parę markowych ciuchów i nie będzie można nawet nikogo za to obwinić. Rodzice zrobili, co mogli, chłopak też pewnie wypłakał swoje. Wszyscy doskonale poradzili sobie w trudnej sytuacji. To niczyja

wina, że Mała była dobrym człowiekiem, a mimo to bez niej wszyscy wydają się...

– Wydają się szczęśliwsi – dopowiada swoje myśli dziennikarka.

Odbija jej się niestrawionym alkoholem. Bezskutecznie maca wokół siebie w poszukiwaniu pilota.

W innych okolicznościach pomyślałby, że jest ładna, ale tym razem prawie tego nie spostrzegł, bo nie lubił klubów i nie lubił dziennikarzy. Było za głośno, siedzieli przy jedynym wolnym stoliku, tuż przy kiblach. Z każdym otwarciem drzwi na skraju pola widzenia pojawiali się szczający do pisuarów goście. Mieszanina dźwięków nazywa się chyba dubstepem i męczy jak ból zęba. Takie miejsca odwiedza tylko w interesach, w dodatku kobieta nalegała na spotkanie tak mocno, że zrobił się podejrzliwy.

– Bardzo się cieszę, że znalazłeś czas, żeby się ze mną zobaczyć – zaczyna dziennikarka. Używa tego swojego poufałego tonu, którym w telewizji rozmawia się z ludźmi z głębokiej prowincji. Czyżby aż tak źle wyglądał?

– Okropne miejsce. – Przeciskający się do kibla potrącają go co jakiś czas. Mruga i trze oczy. Halo stroboskopu osadza się na żrenicach. Kraków nocą jest cholernie przereklamowany.

– Nie zastanawiałam się nad wyborem knajpy. Wydawało mi się, że z racji zawodu poczujesz się tu jak u siebie – mówi Nadia. I to już jest o parę słów za dużo.

– Z racji zawodu? Co masz na myśli?

– Przepraszam – wycofuje się dziewczyna. – Nie chciałam niczego insynuować. I absolutnie nie dlatego nalegałam na spotkanie.

Bokser kręci w zadumie głową. Dziennikarstwo telewizyjne schodzi na psy. Zastanawia się, ile metrów bieżących łoda musiała zrobić ta pani, żeby pojawić się w ramówce. Wygląda egzotycznie, trochę jak Brazylijka. Ma ciemną oprawę oczu i ironiczny uśmiech, ale jest dziennikarką, więc w biosferze miasta naturalnym wrogiem ludzi takich jak on. Żadnych paktów z najeźdźcą.

Nadia też przygląda się mu uważnie. Jest od niej o prawie dziesięć lat starszy. Zgarbiony zawodnik, kolejny w korowodzie ludzi, którzy przepasowali swoje pięć minut. Siwieje, ma pionowe zmarszczki na zarośniętych policzkach i oczy koloru zastelej wody morskiej. „Bandyta”, przypomina sobie Nadia. „Teraz to zwykły bandyta”. Umówili się w knajpie blisko dworca, bo nie stać go nawet na samochód.

– Tak jak już wspominałam przez telefon, chodzi mi o młodą Dunikowską. Spotkałam się z jej przyjaciółmi po zniknięciu. Twierdzą, że mogłeś być ostatnim człowiekiem, który z nią rozmawiał. Policja nie próbowała się z tobą kontaktować?

– Nie w tej sprawie. Znam wielu ludzi, ale chyba nikogo o nazwisku Dunikowski.

– Impreza w wielkim domu na Morgach, parę tygodni temu?

– Aha. To była ta ruda z dużym...

Nadia bez słowa podaje mu zdjęcie. Znają się zaledwie kwadrans, ale już zdążyła go zniełubić. Muzyka dudni w uszach, sala dla palących nie ma klimatyzacji i jej lśniąca od olejku arganowego włosy już przesiąkły dymem. Nie trzeba szukać lepszego lokalu, to nie potrwa długo.

– Pamiętam, to była impreza w domu jej starych. Kumaty dzieciak. Rozmawialiśmy chwilę o nieważnych rzeczach, więcej jej nie widziałem. Bardziej ci nie pomogę. Skarżyła się na rodziców. Pewnie zwała z domu. Takie rzeczy zdarzają się nawet w bogatych rodzinach, co nie?

– Maja nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła.

– Możesz to stwierdzić z całą pewnością, jako dziennikarka i w ogóle? – Ryś uśmiecha się krzywo.

– Mogę to stwierdzić, bo znam ją już od paru lat i rozmawiałam z nią pewnie częściej niż własna matka. Dobrze się rozumiemy.

– Gdybyście się dobrze rozumiali – odpowiada obojętnym głosem bokser – wiedziałybyś, gdzie teraz jest.

Halogenowe światło pada na twarz mężczyzny, oczy pozostają w cieniu. Pije gorzką żołądkową na lodzie. Szkło maskuje grymas.

– Pewnie masz rację. W końcu to tylko panienka z dobrego domu, prawda? Nie ma się czym przejmować. Nie sprzedajesz czasem GHB, przyjacielu? – Nadia zaciska usta, nie spuszczaając wzroku z mężczyzny. Jest tu sama i nie wie, jak on zareaguje na pytanie. GHB jest składnikiem czynnym tabletek gwałtu.

Twarz Ryszarda Zwierza tężeje, ale tylko na chwilę. Potem kręci głową.

– Wybacz mi – mówi. – Nie znam ciebie i nie znam tej dziewczynki. W chuj nie powinienem gadać o waszych sprawach. I nie, nie sprzedaję GHB, nie ruszam tego gówna. Każdy, kto tym handluje, ma u mnie przesrane. Tak jest, chociaż nie musisz mi wierzyć.

– Zaufać dilerowi? – krzywi się dziennikarka.

– Zaufać dziennikarce? – krzywi się diler.

– Nie mogę tak tego zostawić. Za długo ją znałam. Nie chciałbyś mi trochę pomóc w poszukiwaniach? – pyta kobieta. – Jeśli Mała zaginęła albo została porwana, ktoś z twojego środowiska może coś o tym wiedzieć. Takie rzeczy zdarzają się przecież często.

– Za często. Ale egzystując w tym, jak to nazwałam, środowisku, o niektóre sprawy pytać nie należy. Tkwią w bagnie wystarczająco głęboko, więcej mi nie trzeba. Nie mam wygodnego apartamentu w stolicy, do którego będę się mógł zwinąć, kiedy robi się zbyt gorąco, rozumiesz?

Nadia patrzy na niego w milczeniu, dopijając drinka. Tchórz. Wokół nich zaćpani ludzie bawią się do hałaśliwej muzyki. Obok siedzą weseli kibice Wisły ze swoimi „świniami”. Żadna się nie obraża. Przecież nie ma o co.

– Nie, Ryszardzie. – Po raz pierwszy zwraca się do niego po imieniu. – Nie rozumiem.

– To dziwne. Akurat ty powinnaś wiedzieć, że w pewnych środowiskach prawda może być tak samo niebezpieczna jak pigułki gwałtu.

Chyba właśnie powiedzieli sobie wszystko. Nadia zabiera z oparcia kurtkę, nie chce, żeby ją odprowadzać. Rysiek zostaje jeszcze chwilę. W milczeniu dopija drinka.

Siedzący obok kibice już się zorientowali, skąd jest. W jego głosie łatwo wysłyszeć śląski akcent. Któryś próbuje zagadać. Prężąc się przed swoją dziewczyną, zaznacza teren. Reszta śmiechem zagrzewa go do akcji. Rysiek wstaje, odsuwa krzesło. Patrzy prosto w oczy prowadzacych, potem pozostałym. Po kolei spuszcza wzrok. Jest szczuplejszy i starszy od nich wszystkich, ale żaden z „hodowców świń” jakoś nie ma teraz ochoty spróbować z nim szczęścia. Coś w jego sylwetce, nieuchwytnego jak rys zgarbionych ramion, przekonuje, że nie warto. Awantura z nieznanym Ślązakiem jest kiepskim sposobem na rozkręcenie wieczoru. Coś w jego spojrzeniu sugeruje, że gdy przyjdzie co do czego, będą go musieli zabić, bo nie odpuści. Akurat ci kibice Wisły nie są jeszcze na to gotowi.

Wciąga w płuca nocne powietrze. Ostatni bus do Katowic odjeżdża o 23.00. Załapuje się na niego. Przysypia, kiedy wloką się w kolejce do bramek na żalowaną autostradę A4. Oparty o szybę przygląda się przejeżdżającemu obok chevroletowi. Rozpoznaje kobietę za kierownicą. Odbicia w szkłe między nimi tworzą lustrzany tunel, rozmazujący się powidok twarzy. Teraz są zgodni – oboje patrzą w drugą stronę.

Kiedys jako nieznanej nikomu dziennikarce śledczej było jej trudniej docierać do informacji. Teraz wielu ludzi chce z nią gadać, każdy ma nadzieję na swoje pięć minut w świetle reflektorów. Miasto takie jak Bytom kiepsko strzeże swoich tajemnic. Ma w nim wielu znajomych, którzy są jej winni przysługi. Uczciwych, ciężko pracujących znajomych. Nadia zwleka dwa dni, potem decyduje się zadzwonić.

Starszy sierżant Lewandowski przywykł do tego miejsca, tak jak do myśli, że nie należy do ludzi, którzy mogliby sobie poradzić gdzie indziej. Wieczory spędzane przed telewizorem niczym medytacja utwierdzająca go w przekonaniu, że świata zmienić się nie da. Na swój sposób był porządnym człowiekiem, tak zwykła mawiać jego żona, kiedy jeszcze byli razem. Porządnym gliną. Sam uznałby się pewnie za bojownika przeciwko siłom entropii, gdyby znał to słowo.

Blade światło ekranu uwydatnia sińce na grubo ciosanej twarzy. W ciągu ostatnich paru dni sporo o nich myślał. Bicie ludzi nie jest dla niego pierwszozną – pełnięc obowiązki stróża prawa w mieście takim jak Bytom, pewne rzeczy trzeba sobie wpisać w koszta zawodu – ale obrywanie stanowi dla niego wciąż stosunkowo nowe doświadczenie. Radzi sobie z nim kiepsko. Ten cały Ryszard Zwierz to zawodowiec. Gdyby Lewandowski wiedział przed sparringiem, sprawy z pewnością potoczyłyby się inaczej. Nie zlekceważyłby go w taki sposób. Myśli o tym, wpatrując się w ekran, ale nie ma się z kim podzielić wnioskami, bo mieszkanie jest ciche

i nieme już od dwunastu miesięcy i pięciu dni. Nie żeby to jakoś specjalnie liczył. Po prostu wie.

Ryszard Zwierz – trener na pół etatu w gymie Solo. Lewandowski od paru dni próbował się o nim dowiedzieć czegoś więcej, ale chłopcy z tego środowiska nie gadali z policją. Niejasne znajomości, podejrzane okoliczności, zbyt wiele zbiegów okoliczności – starszy sierżant nie otrzymał swojego stopnia za mistrzostwo w sztuce dedukcji. Zbyt wiele niepowiązanych ze sobą końców tylko powiększało jego frustrację. A potem, zupełnie jak w filmach, w słuchawce rozległ się znajomy głos.

Pada już od wielu dni. Deszcz okrywa miasto jak prześcieradło. Kamienice przy ulicy Dworcowej to pomniki zaprzepaszczonych szans, sypią się secesyjne zdobienia, płatami łuszczy się farba. Światła neonów odbijają się w kałużach. Protekcyjne uśmiechy na banerach reklamowych wyglądają tu jak z innego świata. Chłopaki w bramach czekają na swojego Godota, żeby go zdziesionować i wreszcie się napić. Zakapturzeni, cierpliwi mnisi przemocy. Realne bezrobocie wynosi tu czterdzieści procent, zamykają się kopalnie, w cieniach centrów handlowych bankrutują sklepy. Tylko trzy rzeczy są w śródmieściu dostępne całodobowo: seks, używki i wypierdol. Miasto wyspecjalizowało się więc w dilerce, szkołach tańca i klubach walki. Dostosuj się lub giń. Ewolucja i entropia działają bez zarzutu. Na domiar złego nie przestaje padać.

DO AUTORA

W tekście wykorzystano fragmenty piosenki *Really Real* Tricky'ego, *Indifference* Pearl Jamu, *Czas pomyka* Voo oraz wiersza *Giną ludzie* Josifa Brodskiego.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Blues o krwi i trawie
Copyright © Paweł Ciećwierz
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

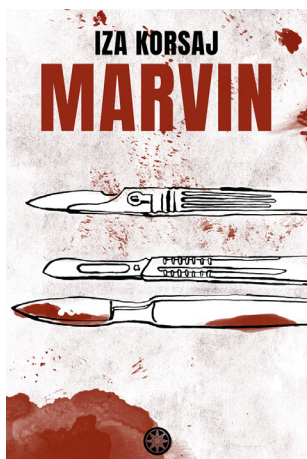
druk ISBN 978-83-7995-295-3
epub ISBN 978-83-7995-296-0
mobi ISBN 978-83-7995-297-7

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Kurzydłowska
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Korekta techniczna: Ewelina Nawara, Katarzyna Wąsowicz
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Grafika na okładce: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@literate.pl
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



MARVIN
IZA KORSAJ

Ile utracieś ze swojego człowieczeństwa? Jak wiele zniesiesz, aby ponownie móc nazwać siebie człowiekiem?

Te pytania zadaję moim pacjentom podczas napraw ich zdegenerowanych osobowości. Zawsze daję im wybór i czas na odpowiedź. Bez nienawiści, ale i bez litości dla słabych.

Jedni udzielają poprawnej odpowiedzi i przyjmują mój dar. Inni, cóż... znikają. Pierwsi uczynili swoje życie pełniejszym i bardziej wartościowym, drudzy uratowali życie komuś godnemu miana człowieka.

Nazywam się Marvin T. Cross i jestem bostońskim chirurgiem. Uważam się za największego humanistę naszych czasów, gdyż nie mam boga przed człowiekiem. W moich oczach, marnując dany ci przez naturę potencjał, bluźnisz. Nie lękaj się jednak, wyciągnę do ciebie pomocną dłoń...

Intrygująca, mocna i warta uwagi. Polecam.
Marta Daft z martawsrodksiasek.pl

„Marvin” to książka, obok której nie możesz przejść obojętnie. Gorąco
polecam!

Ewelina Nawara z myfairybookworld.pl





ZŁE

MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili,
a zło zatriumfuje* – Edmund Burke

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziłiby się tej opowieści.



[Kup książkę](#)



INDYGO

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

W Baskin Zachodnim dzieci znikają bez śladu niemal od zawsze. Uciekają z domu czy są uprowadzane? Żyją czy umarły? Nikt nie wie, jaki spotykał je los.

Nikt prócz Kusaka. Sadystycznego seryjnego mordercy, który je porywa i w bestialski sposób morduje. Równie wiele przyjemności jak torturowanie ofiar sprawia mu gra jaką prowadzi z lokalną społecznością i policją. Psy-

chopata na co dzień przybiera różne maski: wzorowego obywatela, sympatycznego sąsiada, wolontariusza zaangażowanego w pomoc rodzinom ofiar. Karmi swoje ego ich cierpieniem, bezradnością i łatwowiernością. Czuje się bezkarny.

Los stawia jednak na jego drodze nietypowych przeciwników. Dwoje nastolatków połączonych tragedią i wspólnymi tajemnicami odkrywa, jaki los spotyka zaginione dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to wysoką cenę. Być może zbyt wysoką?

Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!



[Kup książkę](#)



FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.- **Michał Chmielewski**, autor *Złe i Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE



[Kup książkę](#)



PANACEUM AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozabawieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty. Przy tej książce zapomina się o całym świecie.
Hanna Greń, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

DRUGI TOM SERII MIASTO OBIECANE



[Kup książkę](#)



PO DRUGIEJ STRONIE RAFAŁ CUPRJAK

O czym jest moja książka? O tym, że maluję obrazy. Tworzę coś z niczego, czyli w pewnym sensie jestem bogiem, ale nie tym z Paktofoniki, i nie Jezusem Chrystusem, nawet nie Zeusem, tylko takim małym bogiem, bożkiem. Kiedy zasypiam, obrazy się budzą, życie w nich toczy się normalnie, tak jak u nas, tam też jedzą, płodzą dzieci, łoją wodę, kłócą się, jarają gandzię. Taki świat wykreowałem.

Usadawiłem go w oddalonej od szlaku samotnej góralskiej chatce, gdzieś na końcu świata, w Bieszczadach, pomiędzy Cisną a Wetliną. To na pierwszy rzut oka zwyczajne schronisko tak naprawdę jest azylem pełnym ludzi uciekających przed wojną, bestialstwem getta, przed krwią na dłoniach, uzależnieniem od cyberseksu, chorą ambicją, wypłukującą z mózgu resztki wolności i zdrowego rozsądku. To miejsce jak magnes przyciąga moich bohaterów, wylatwiając ich z różnych czasów i miejsc.

Łączę i mieszam gatunki, romans z kryminałem, horror z erotyką, poezję z fantastyką; przy ciągłym akompaniamencie muzyki, od jazzu i bluesa po brudny i sprzężony punk rock. Zadaję wiele pytań, na które odpowiedź jest zawsze taka sama – Człowiek jest niezniszczalny. Ale czy to dobrze?

Milej lektury!
Rafał Cuprjak





MAMUSIU, PRZECIEŻ BYŁAM
GRZECZNA
RAFAŁ CUPRJAK

Czy Internet to Bóg?

Dokąd uciekniesz przed złem? Jak daleko się posuniesz, by uratować własne dziecko?

Wyobraź sobie, że znajdujesz się na granicy, po przekroczeniu której rzeczywistość zmieni się diametralnie. Świat przestanie być takim jakim go widzimy na co dzień, a stanie się czymś zgoła innym – pięknym, ale

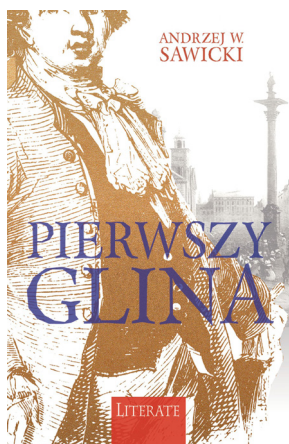
też przerażającym.

Mamusiu, przecież byłam grzeczna to opowieść o trudach miłości, potędze sztuki i głębokim cierpieniu.

Zostałem oczarowany. Lapidarnym stylem, polifoniczną narracją, ale przede wszystkim samą historią, która pozostawiła moją wyobraźnię w ciemnym kącie, tkającą, że nie zrodziła nic równie dobrego, jak najnowsza powieść Rafała Cuprjaka. „Mamusiu, przecież byłam grzeczna” to brawurowy pokaz ogromnego talentu, pierwszorzędnego rzemiosła i błyskotliwego wykorzystania gatunkowych konwencji, to niepokojący powiew literackiej wiosny. – **Bartosz Orlewski**, autor *Armadillo*



[Kup książkę](#)



PIERWSZY GLINA ANDRZEJ W. SAWICKI

W grudniu 1807 roku spokojnym warszawskim Żoliborzem wstrząsa potężny wybuch, który niszczy pałac zajmowany przez oficera armii napoleońskiej. Policjanci z nowo utworzonego Wydziału Śledczego wszczynają dochodzenie, ale szybko zostają odsunięci od sprawy przez Francuzów. Nie dają za wygraną, bo Warszawa to ich miasto i zabójcy nie będą się tutaj szarogęścić. Szybko okazuje się, że afera sięga samych szczytów władz Księstwa Warszawskiego...

Kilka miesięcy później w swoim kantorze przy ulicy Gęsiej został brutalnie zamordowany Leopold Atalias, szanowany żydowski finansista, jeden z pięciu wekslarzy wybranych do ustalania kursów i stóp procentowych w Księstwie Warszawskim.

Czas, miejsce i narzędzie zbrodni wprawiają Glinę w konsternację. Wszyscy funkcjonariusze Wydziału Śledczego zostają oddelegowani do rozwiązania sprawy. Podejrzani są jednocześnie członkowie rodziny, wierzyciele, konkurencja zmarłego, a nawet agenci wywiadów Rosji i Prus. Nie da się również wykluczyć udziału ortodoksyjnych kabalistów lub religijnego motywu zbrodni.

